

A. K. GREEN.

KTO MORDERCĄ?

8

— Panie Rymond — rzekła — chcę zadać panu jedno pytanie. Jestem przekonana, że odpowie mi pan uczciwie i szczerze, tak jakby pan był moim bratem. Niech mi pan powie, czy możliwe jest według pana, aby człowiek zrobił coś złego, a wyniki z tego były dobre?

— Możliwe, lecz w każdym razie winien się przyznać do swego uczynku.

— Lecz czyż takie przyznanie nie rzuciłoby cienia na niego?

— Zależy od tego, na czym polegała jego wina i jakie były następstwa. Jeżeliby pani zrobiła krzywdę bliźniemu, której nie można naprawić, wątpię, czy czułaby się pani szczęśliwą, choćby dalsze życie pani było bez winy.

— W takim razie, aby żyć potem uczciwie, należy przedtem szczerze i publicznie przyznać się do swej winy? A nie możnaby było ukryć jej? Może byłoby tak lepiej?

— Nie; jeżeli można naprawić coś swoim przyznaniem się, należy to uczynić — odpowiedziałam.

Słowa moje zaniepokoiły ją. Przez chwilę stała pogrążona w zadumie, potem się ocknęła i poprosiła mnie do salonu.

W rozmowie, jaka się między nami toczyła, nie powracała już do tego tematu i widocznym było, że chciała, bym zapomniał o czym mówiła, lecz to jej się nie udało. Gdy wychodził z domu, spotkałem Tomasza, stojącego koło bramy. Postanowiłem zapytać go o jednego człowieka, który interesował mnie przez pewien czas; chciałem mianowicie dowiedzieć się, kto jest ten Roy Robbins, który odwiedził miss Eleonorę w przeddzień zabójstwa. Tomasz zachowywał jednak dyskrecję; zapewniał mnie, że nie pamięta jak wygląda ten pan i nic o nim nie wie. Przekonałem się, że wszelkie pytania nie doprowadzą do niczego i wkrótce też odszedłem.

Przez kilka następnych dni ani na krok nie posunąłem się naprzód. Klawering zapewne, by uniknąć spotkania ze mną, nie przychodził do czytelnicy, wieczory zaś, które spędzałem w domu miss Mary, niepokoiły mnie daremnie i podniecały. Rękopis Lavenforta wymagał daleko mniejszej pracy, niż to początkowo przypuszczałem, starzec bowiem zachowywał wszelkie materyały do niego w wielkim porządku; przez ten czas zdołałem tylko poznać się nieco bliżej z Hervelem. Zachowywał się zawsze jednakowo spokojnie, z godnością, a jako pracownik był rzeczywiście nieznużony, tak iż zacząłem odnosić się do niego z pewną życzliwością, nie mogąc jednak powiedzieć, by i on mi się tem odplacał. O Eleonorze nie wspominał nigdy i wogóle nie odzywał się wcale o wypadkach ostatnich dni. Pojąłem wkrótce, że postępuje tak z powodu jakiejś ważnej rzeczy, jemu tylko wiadomej, dlatego też nie przestawałem zwracać na niego jak najpilniejszej uwagi.

Czas jednak mijał i zacząłem już tracić cierpliwość. Klawering nie pokazuje się, sekretarz niedostępny i milczący, na cóż więc mogłem jeszcze liczyć? Moje krótkie wizyty u miss Mary także nie dawały mi nic nowego. Widocznym było dla mnie, iż przeżywa jakiś kryzys i że to sprawia jej ogromne cierpienie. Gdy pozostawała sama, załamywała często w rozpacz ręce, jak gdyby groziło jej jakie wielkie nieszczęście; nieraz stawała nieruchomo, uginając się pod jakimś niewidocznym ciężarem, którego nie mogła zrzucić z siebie. Przeważnie jednak zachowywała swą dumną, niedostępną minę.

Podobne zachowanie się dawało mi pewną nadzieję, że przedzie, czy później odkryje mi swą duszę. Te drżące wargi będą musiały przemówić i wtedy poznam tajemnicę, od której zależy cześć Eleonory Lavenfort. Nie mogłem zapomnieć oskarżenia, jakie rzuciła w twarz swej kuzynki i dlatego stopniowo co raz to dłużej przebywałem z nią, tak iż nawet sekretarz zaczął się skarżyć, iż pozostawiam go bez pracy.

Tak mijał dzień po dniu. Znowu nadszedł poniedziałek — już dwa tygodnie upłynęło od zabójstwa — a ja ani na cal nie przybliżyłem się do swego celu. W domu nie wspomniano już wcale o zabójstwie, ani o Dżen, gazety jednak czytano skwapliwie.

W poniedziałek byłem spokojniejszy i weselszy niż w ostatnim czasie. W przeddzień zobaczyłem na chwilę w oknie tak miłą mi twarz Eleonory i widok jej przejął mnie takim męstwem, iż nie obawiałem się już całego tygodnia nowych zawodów i rozczarowań. Ponieważ pogodziłem się już z my-

ślą, że i w domu miss Mary nie dowiem się nic nowego, wieczoru tego zjawiłem się tam tak obojętnym i spokojnym, jak nigdy jeszcze nie przestępowałem progu tego domu. Gdy wszedłem do salonu, ujrzałem, że miss Mary chodzi po nim nerwowo i trwożnie, jakby oczekiwała kogoś. Zdecydowałem się szybko i podchodząc ku niej, rzekłem:

— Spodziewam się, miss Mary, iż dzisiaj uda mi się porozmawiać z panią na osobności.

Zarumieniła się, odpowiedziała na mój ukłon, lecz nie prosiła mnie bynajmniej, abym usiadł.

— Proszę mi wybaczyć — mówiłem dalej — lecz muszę prosić pani o udzielenie mi kilku minut; mam do pomówienia z panią.

Spojrzała na zegarek i chciała już powiedzieć, że nie może mnie przyjąć, lecz widocznie rozmyślała się, gdyż usiadła i poprosiła mnie gestem, bym zajął miejsce. Chociaż chciała wydać się spokojną, była jednak bardzo podniecona i z trudem tylko panowała nad sobą; nie zważając na to, przystąpiłem od razu do rzeczy:

— Miss Lavenfort — zacząłem — mam do pani prośbę.

Odrzucała spostrzegłem, iż przemówiłem nie w porę; zmieniła zaraz ton i zapytała zimno:

— Pan ma prośbę? do mnie?

— Tak! Dotychczas milczałem, teraz jednak zdecydowałem się prosić panią o wyjaśnienia, które może i nie ocalą pani kuzynki, lecz przynajmniej doprowadzą nas na dobry ślad.

— Nie rozumiem pana — odpowiedziała, drżąc cała.

— Miss Lavenfort, zdaje mi się, iż jest zupełnie zbyt cicho w rozmowie z panią nad niebezpiecznym położeniem, w jakim znalazła się pani kuzynka z powodu swych odpowiedzi, dawanych w śledztwie. Lecz może pani nie wie tego, że jeżeli nie uwolni się ona w krótkim czasie od podejrzeń, jakie na niej ciąży, to grozi jej...

— Co? — zawołała Mary — co pan chce powiedzieć?

— Że ją zaaresztują — niema co do tego żadnej wątpliwości.

Przekonałem się, że strzała moja trafiła do celu. Zbladła i zadrżała.

— I to wszystko z powodu tego nieszczęsnego klucza?

— Z powodu klucza? lecz co pani wie o kluczu?

— Czyż nie pan opowiadał mi o nim?

— Nie — odpowiedziałam.

— W takim razie przeczytałam o tem w gazetach.

— Gazety nie wspominały o kluczu ani słowem.

Zmieszała się zupełnie.

— Myślałam, że wszyscy o tem wiedzą — wyszeptowała.

Naraz zdecydowała się na coś i rzekła:

— Nie, ja kłamię. Bardzo dobrze wiedziałam, że to jest sekret, lecz Eleonora sama mi o tem opowiedziała.

— Eleonora?

— Tak, wieczorem, gdyśmy się ostatni raz widziały i rozmawiały w tym pokoju.

Nie mogłem ukryć swego zdziwienia. Eleonora, która wiedziała o co ją podejrzewa kuzynka, opowiadała jej o kluczu, by utwierdzić ją w podejrzeniach przeciw sobie? Nie mogłem uwierzyć w to.

— Lecz pan również wiedział o tem — mówiła dalej Mary — nie wydałam więc cudzej tajemnicy.

— Nie — odrzekłem — lecz to jest właśnie jeden z punktów, które tak obciążają i bez tego niebezpiecznym położeniem pani kuzynki. Jeżeli nie zostanie to wyjaśnione, na miss Eleonorze ciążyć będzie piętno, którego nic nie będzie w stanie zmyć. Tylko jej czyste dotychczasowe imię i wiara w nią człowieka, od którego zależy jej aresztowanie, broniły ją od tego pohańbienia. Usiłowania jej jednak, by ukryć klucz i milczenie, jakie o tem zachowuje, może wreszcie doprowadzić do tego, że nikt już nie będzie mógł wyrwać jej z przepaści, nad której brzegiem stoi obecnie.

— I pan to mówi mnie...

— Tak, mówię to pani, by ulitowała się pani nad swą biedną kuzynką i pomogła nam wyjaśnić tę tajemnicę. W ten tylko sposób będzie można uwolnić ją od ciężkich podejrzeń, jakimi ją obarczono.

— I pan sądzi, że ja wiem o tem więcej, niż mówię? Pan sądzi, że ja jeszcze taję coś do tym strasznym wypadku, który w naszym spokojnym domu zasiał przerażenie? Może i mnie podejrzewają

o co? Przyszedł pan, by znieważać mnie w moim własnym domu?

— Niech się pani uspokoi, miss Lavenfort. Na myśl mi nawet nie przychodziło obwiniać pani — chciałbym tylko, by wyjaśniła mi pani powody niezrozumiałego milczenia pani kuzynki. Pani musi je znać. Związana jest pani z nią węzłami bliskiego pokrewieństwa, przeżyła pani z nią razem wiele lat swego życia, musi więc pani wiedzieć, dlaczego ona skrywa to, co wie, dla kogo poświęca siebie, by usunąć w ten sposób podejrzenia od prawdziwego przestępcy.

Nie odpowiadała mi nic. Wstałem i podszedłem do niej bliżej.

— Miss Lavenfort — rzekłem znowu — niech mi pani powie szczerze, czy oskarża pani o co swą kuzynkę, czy nie?

— Ja oskarżam? O Boże! gdyby wszyscy byli tak niewinni, jak ona!

— W takim razie musi się pani zgodzić na to, że jeżeli ona pokrywa milczeniem znane fakty, to czyni to nie dla siebie, lecz dla tych, kto jest więcej winien od niej.

— Nie, nie, wcale się nie godzę na to, skąd pan doszedł do takiego wniosku?

— Postępowanie miss Eleonory jest takie, iż można zrobić dwa tylko przypuszczenia: albo dostała pomieszczenia zmysłów, albo też chce bronić kogoś za cenę własnej czci.

— A jak pan sądzi, dla kogo Eleonora mogłaby poświęcać siebie? — zapytała Mary i wargi jej drżały nerwowo.

— To jest właśnie zadanie, w rozwiązaniu którego winna nam pani pomóc. Pani zna przecież całą przeszłość Eleonory.

— Przepraszam — rzekła chłodno Mary — ale ja nic nie wiem o osobistych poglądach i uczuciach Eleonory — niech zadanie to rozwiązuje kto inny, tylko nie ja.

Próbowałem zmienić swą taktykę.

— Gdy miss Eleonora powiedziała pani, że klucz miała u siebie, czy wytłomaczyła potem w jaki sposób znalazł się on u niej?

— Nie!

— W takim razie wspomniała pani o samym fakcie bez żadnych wyjaśnień?

— Tak, bez wyjaśnień.

— Dziwię się, że zdecydowała się na tak ważne przyznanie się tej, która na kilka godzin przedtem rzuciła jej w twarz straszne oskarżenie.

— Co pan chce przez to powiedzieć? — zapytała drżącym głosem.

— Pani przecież nie będzie zaprzeczała temu, iż nie tylko od samego początku uważała, że przestępstwo to spełniono przy udziale kuzynki, ale nawet wypowiedziała jej to pani w oczy?

— Niech mi pan wyjaśni, co znaczą pańskie słowa — rzekła szeptem.

— Czy pani zapomniała, miss Mary, o czym była rozmowa w pokoju pani, zanim ja tam wszedłem z Grysem w pierwszy dzień śledztwa?

— Pan słyszał wszystko? — szepnęła i zakryła twarz rękami.

— Nie chciałem podsłuchiwać, lecz właśnie w chwili tej znalazłem się pod drzwiami...

— Co pan słyszał?

Opowiedziałem jej niektóre szczegóły i powtórzyłem usłyszane wtedy słowa.

— A pan Grys?

— Stał razem ze mną.

Zdawało się, iż chce mnie przebić nawskroś swym wzrokiem.

— A gdy panowie weszli, rozmowa ciągnęła się jeszcze między nami? — zapytała.

— Nie.

— I pan nie zapomnił tego, co pan wtedy słyszał?

— Czyż to możliwe?

Siedziała w milczeniu, jak gdyby coś układała w swych myślach.

— A więc dlatego pan przyszedł dzisiaj wieczorem do mnie? — odezwała się wreszcie. — Zamęcza mnie pan swymi pytaniami, zatrzuwa mi pan życie.

— Niech mi pani wybaczy, lecz jedynym celem moich pytań jest tylko pragnienie ocalenia pani kuzynki. Czyżbym zaszedł za daleko, pytając się, jakie pani miała podstawy do oskarżania jej o tak straszne przestępstwo? A przecież na śledztwie pani twierdziła potem zupełnie co innego.

Nie słuchała mnie.

— Jakiż straszny mój los — szepnęła — jaki straszny los!

— Miss Lavenfort — rzekłem, przysuwając się jeszcze bliżej — chociaż obecnie nieporozumienie rozdziela panie, to jednak pani nie może żądać jej zgu-